Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Olsztynie

nr 3-4 (76-77) III-IV 2011

bezwierszówki

SDP

Miesięcznik społeczno-kulturalny

ISSN 1732 7327

Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, zapomnij o mnie.
Adam Mickiewicz

Pamięć Hohenbruch

Wietrznego, zimnego, z przebłyskiem słońca, 24 marca 2011 roku, na terenie dawnego niemieckiego obozu Hohenbruch w Obwodzie Kaliningradzkim (dziś Gromowo), miała miejsce uroczysta ceremonia odsłonięcia pomnika ofiar i więźniów tego obozu. Pojechaliśmy tam, zorganizowaną grupą z inicjatywy Urzędu Marszałkowskiego, mając na względzie pamięć zamęczonych tam Polaków i ich towarzyszy, nade wszystko osobę Seweryna Pieniężnego, wydawcy, redaktora, publicysty, działacza społeczno-narodowego na Warmii.

Pomnik zaopatrzony jest w napis w języku polskim i rosyjskim:

„W tym miejscu od sierpnia 1939 roku, do stycznia 1945 roku, funkcjonował niemiecki, faszystowski obóz policyjny Hohenbruch, podległy urzędowi Gestapo w Koenigsberg. Więziono w nim Polaków, działaczy Związku Polaków w Niemczech, przedstawicieli inteligencji z Warmii, Mazur, Powiśla i Kujaw, Niemców, Żydów, Czechów, a od 1941 roku Rosjan, Litwinów i osoby innych narodowości. Wielu więźniów zamęczono i rozstrzelano.

24 lutego 1940 roku w obozie zabici zostali: Seweryn Pieniężny redaktor „Gazety Olsztyńskiej", działacze polscy: Wojciech Gałęziewski, Jan Maza, Leon Włodarczak.

Pamięci wszystkich, którzy tu cierpieli i zginęli."

W podpisie: Rząd Rzeczypospolitej Polskiej, Rząd Obwodu Kaliningradzkiego Federacji Rosyjskiej.

Przypomnijmy, iż prochy Seweryna Pieniężnego sprowadzono do Olsztyna 2 listopada 1946 roku.

kjp

Pamiątkowy kamień w Gromowie. Na jego odwrocie identyczny tekst w języku rosyjskim

Jedyny ślad po dawnym obozie – resztki bramy wjazdowej

Mówi się o tym

Krajobraz barbarzyńców

W szaleńczym tempie zmienia się nasz, polski świat. Są w nim zmiany zapierające dech (zachwyt), są też zmiany budzące sprzeciw (bezsilność). Jest więc postęp techniczny i technologiczny, wizje które się filozofom nie śniły, a które pojutrze stają \się rzeczywistością. A obok – przytulona trwożliwie, karlejąca dusza człowiecza. Nie daje już jej satysfakcji posiadanie jakichkolwiek dóbr. Toczy ją robactwo złoczynienia.

Mój redakcyjny zwierzchnik sprzed dziesięcioleci, dostrzegłszy błąd ortograficzny w tekście, mawiał: – Dziś pisze z błędami, jutro matkę harmonią zatłucze.

Przypomniał mi się ten karkołomny wywód, kiedy przeżyłem kolejne olsztyńskie rozczarowanie. W miejscu od lat uświęconym istnieniem księgarni, natykam się na bank, a ostatnio na gabinet kosmetyczny. To, że ulegamy kredytomanii i chęci wygładzania zmarszczek, nie jest tendencją długotrwałą. Branie rozbratu z książką, czy filmem („Awangarda" przestaje kusić nietuzinkowymi projekcjami), to przejaw schlebiania barbarzyństwu. Strach myśleć, co przyniesie jutro w barbarzyńskim wydaniu. Pewnie coś jeszcze bardziej niebezpiecznego. W majestacie prawa, ustaw, regulaminów.

Jeśli prawo jest złe – zmień je, jeśli ustawa krępuje – udoskonal ją. Rozwój nie może odbywać się za cenę kulturowego regresu.

Zastępca

Nasze przybliżenia

Ile zarabia dziennikarz?

Przeciętne miesięczne zarobki dziennikarza wynoszą od 2 do 4 tys. zł netto – takie kwoty deklarowali najczęściej dziennikarze ankietowani na zlecenie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Z badania wynika ponadto, że dziennikarze źle postrzegają swoje środowisko.

Badanie przeprowadzono metodą indywidualnej ankiety kwestionariuszowej. Odpowiedziało na nią 830 osób, z czego 76,5 proc. zadeklarowało, że dziennikarstwo jest ich podstawowym źródłem dochodu (tę grupę w badaniu określono mianem dziennikarzy). 51,5 proc. badanych pracuje w mediach, zlokalizowanych w stolicy; najczęściej byli to dziennikarze informacyjni, zajmujący się kulturą oraz pracujący w mediach branżowych. Wśród badanych najliczniejszą grupę stanowili dziennikarze o krótkim stażu pracy – do 10 lat.

W pytaniu o zarobki najczęściej wskazywany przedział (41,2 proc.) miesięcznego wynagrodzenia netto dziennikarzy to od 2 do 4 tys. zł, jedna piąta ankietowanych deklaruje, że zarabia od 4 do 6 tys. zł., 8,4 proc. – od 6 do 8 tys. zł, a 6 proc. – powyżej 8 tys. zł. netto.

W grupie "niedziennikarzy" (osoby, dla których profesja ta jest dodatkowym źródłem dochodu) najczęściej deklarowano (53,7 proc.), że średnie zarobki wynoszą do 1 tys. zł. netto miesięcznie.

Dziennikarze najczęściej deklarowali, że opłacani są stałą pensją (72 proc.), a także wierszówką (41,8 proc.). Wynagrodzenie z tytułu umowy o dzieło lub zlecenie pobiera 34,7 proc. dziennikarzy. Wynagrodzenia w tej ostatniej formie otrzymują jednak najczęściej "niedziennikarze" (58,2 proc.).

W opinii ponad 72 proc. dziennikarzy ich koledzy kierują się w pracy przede wszystkim poleceniami zwierzchników. Zgodnie z kodeksami dziennikarskimi postępuje mniej niż 0,5 proc. dziennikarzy. Natomiast na pytanie, czym powinni przede wszystkim kierować się dziennikarze ankietowani odpowiadali najczęściej: "własnym sumieniem" (60,3 proc.).

Ankietowani oceniali też zmiany, jakie nastąpiły w zawodzie w ostatnich latach. 15,8 proc. wskazywało na pogoń za sensacją, 12,9 proc. na konformizm wobec wydawców i właścicieli rynku, 11,6 proc. na nierzetelność i niską jakość pracy dziennikarskiej, 11,1 proc. na upadek i deprecjację oraz pauperyzację zawodu.

SDP zapowiada, że wyniki ankiety posłużą mu m.in. do wznowienia starań o uregulowanie statusu zawodu dziennikarza.

wl

http://www.wirtualnemedia.pl/artykul/ile-zarabia-dziennikarz-od-2-do-4-tys-zl#

Andrzej Zb. Brzozowski

Limeryki dziennikarskie

Zły przykład

Na co jeszcze można liczyć?
Na co liczą politycy?
Czyje plany i pomysły
W sukces się zamienią przyszły?
W sporcie górą astmatycy.

Podejrzane

Giełda i poparcie spada.
Z sondażami się nie gada.
Jak na razie, to co rośnie,
Zawdzięczamy tylko wiośnie.
UOP to powinien zbadać.

Bez wierszówki – miesięcznik społeczno-kulturalny Oddziału SDP w Olsztynie.
My w Internecie: www.sdp.pl, www.zycieolsztyna.pl
Prezes oddziału: Joanna Wańkowska-Sobiesiak (tel. 089 523-26-11)
joanna-wankowska@wp.pl
Redaguje: Krzysztof Panasik z zespołem; krzychpanasik@gmail.com (kom. 695-782-690)
bezwierszowki@o2.pl. DTP: Paweł Lik
Druk: Studio Poligrafii Komputerowej "SQL" s.c.. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów i skracania tekstów. Nakład 300 egz.

Konto oddziału SDP w Olsztynie: Bank Pekao S.A.
O/Olsztyn 40124055981111000050316164
Wydano przy pomocy finansowej Samorządu Miasta Olsztyna

Polka w kulturze

Od jakiegoś czasu rozrywa Olsztyn dyskusja o tym, jaka powinna być kultura w mieście. Piszą o niej i zadowoleni, i niespełnieni, i znawcy, i ludzie z pretensjami, i osoby z ambicjami, i wiedzący wszystko lub odwrotnie – nic. A ta kultura w mieście jest przecież, tyle że na różnych okręgach.

Grają i śpiewają z potrzeby duszy, czyli „Krótka polka"

Wielu twórców – tak było i jest – tworzy po kątach, ich sprawa, bo świat wszystkich nie pokocha, a poza tym – jak to kiedyś słyszałam – świat potrzebuje tylko trzech tenorów, czyli pozostałych rynek nie wchłonie. Należę do ludzi, których nurtuje proste pytanie o to, dlaczego nie pokazywać tej nie zagospodarowanej reszty i robić to z pożytkiem podczas różnych okazji i bez okazji, skoro wielobiegunowość bywa inspirująca i łamie stereotypy, a często przy tym bywa niemalże za darmo? Brakuje miejsc na to i konceptu organizacyjnego? Pytań jest wiele.

Pewnego wieczoru trafiłam do jednego z lokali na starówce w Olsztynie, bo usłyszałam dźwięk akordeonu, a to rzadkość. Zwykle w lokalach słychać coś jak radio dla wszystkich w sklepie. Dziewczyna nieduża, ale mocna i zgrana z akordeonem jak siostra, rżnęła polkę. Towarzyszyła jej kapela folkowa o sympatycznej nazwie „Krótka polka".

Dlaczego o tym piszę? Bo po głowie ciągle chodzi mi pytanie: Jak to jest, że tylu ludzi działa i tworzy wokół, a ja znam tylko tych, na których są pieniądze z promocji, a w mediach czytam komentarze, że nic się nie dzieje? Dlaczego nie pokazuje się sztuki zwanej niszową (często pogardliwie zwanej niszową), skoro bywa oryginalna i też wzbogaca kulturę, a nawet jak w przypadku kapeli „Krótka polka" budzi zainteresowanie?

„Krótka polka" – jak się zorientowałam w rozmowie z jedną ze śpiewaczek – nie dąży do sławy. Oni grają i śpiewają z potrzeby duszy, bo dobrze z tym się czują, bo tworzą grupę przyjaciół, bo spotykających się po pracy dla twórczego i odstresowującego ich tlenu, bo nabierają sił na jutro itp. Nie jestem fanką folku, ale zasłuchałam się w koncert kapeli – był jak gorący piec w zimowy wieczór, a do tego oderwał od codziennej sieczki.

Nie ja jedna to tak czułam. Na przykład, wchodzi dziewczyna w czarnych skórach i kolekcją kolczyków w uchu. Zdumiona, bo coś tu nie tak. Akordeon i skrzypce przy barze? Potem telefonuje – pewnie do znajomych, z którymi tu się umówiła. Rozgląda się po wnętrzu, jakby szukała powodu, dla którego wytrzyma tu nie dłużej niż pięć minut. Wytrzymuje kwadrans. Potem dochodzi do niej kilka osób, więc siadają z piwem i słuchają. Miałam też wrażenie, że ci młodzi siedzieli wśród starych bez wstrętu. W kulturze zatem dzieje się wiele dobrego, ale nieśpiesznie pokazuje publicznie plany z innego rzędu niż pierwszy – brakuje wiary, że można?

Elżbieta Mierzyńska

Co słychać?

Melchiory rozdane

Konkurs świadomie nawiązujący do postaci Melchiora Wańkowicza nosi jego imię „Melchiory". Celem jest promowanie wybitnych autorów i ambitnych form twórczości radiowej.

Statuetki ojca polskiego reportażu (patrz obok) rozdano 9. kwietnia tym razem w Olsztynie, w scenerii nowej Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej. Gali, zorganizowanej przez Studio Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia oraz Radio Olsztyn, patronował wojewoda, marszałek i prezydent Olsztyna. Odbyły się też imprezy towarzyszące, skierowane do mieszkańców, studentów dziennikarstwa oraz słuchaczy Radia Olsztyn i Programu I Polskiego Radia. W holu Filharmonii otwarto wystawę fotograficzną – „85 lat Polskiego Radia". Jak na radiową fetę przystało, uroczyste spotkanie transmitowało Radio Olsztyn i Program I Polskiego Radia oraz olsztyńska TVP. Laureatami VII Ogólnopolskiego Konkursu „Melchiory" zostali: w kategorii Inspiracja Roku 2010 – Helena Kowalik, dziennikarka niezależna; w kategorii Premiera Roku 2010 – dwie równorzędne nagrody otrzymały Agnieszka Czyżewska-Jacquement z Polskiego Radia Lublin oraz para autorska Magdalena Żerwe z Polskiego Radia Gdańsk i David Zane Mairovitz; nagrodę specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia S.A. otrzymał Janusz Kukuła – dyrektor Teatru Polskiego Radia. Natomiast tytuł Radiowego Reportażysty Roku 2010 otrzymał Jan Smyk z PR Białystok, który swe radiowe życie rozpoczął przed laty w Olsztynie.

Mirosław Rogalski

Knebel na usta i pałki

Czyje pieniądze, tego władza

– Nadużywamy naszej demokracji *(we abuse our democracy)* – powiedziała do mnie Loveday Russell, opiekująca się Polską w strukturze światowego ruchu pomocy telefonicznej. Wtedy, tuż po zakończeniu stanu wojennego, nie bardzo rozumiałem o co chodzi.

Jak to – każdy może mówić co chce, potem głosujemy i większość decyduje jak działamy? To w skrócie odtworzenie demokracji, której kolebką są Wyspy Brytyjskie. Z tym, że Loveday chodziło o to, że u nich tych dyskusji zrobiło się za dużo. Po roku 1989 w Polsce też mamy wolność słowa. Z tym, że cenzurę polityczną zastąpiła cenzura kapitałowa. Kto ma forsę i gazetę, ten narzuca, co w niej pisać. Proszę mi pokazać dziennikarza, który naprawdę chciałby wyrażać swoje poglądy na łamach i to przeciwne wydawcy. Natychmiast go wyleją. Strach przed utratą pracy zabił wolne słowo. Może dlatego znikł prawie kompletnie reportaż, publicystyka pojawia się tylko w największych gazetach. Pozostali piszą pod dyktando wierszówki, czytaj pieniędzy i bojaźni, by nie narażając się móc utrzymać rodzinę. Może dlatego tytuł „Bez wierszówki" ma sens, bo tu chociaż nie ma obawy o to „ile, za to dostanę" albo „uważaj, co piszesz, bo postawią Cię na baczność".

W końcówce grudnia 2010 roku na Białorusi wybierano prezydenta. Niezmordowany Łukaszenka (ten ma parcie na władzę !) aresztował po głosowaniu większość kontrkandydatów, dziennikarzom założył knebel na usta, a osoby z nim kandydujące i demonstrantów potraktował milicyjnymi pałami. Polała się krew. Co to za demokracja, na którą oczywiście powoływał się Łukaszenka, jak ten, który ma władzę dysponuje pałami i wszystkich kiedy zechce może nimi potraktować. A w Rosji, czy na Ukrainie nikt się nie patyczkuje. Kiedy nagle zniknął dziennikarz, to wiadomo, że na zawsze, bo stracił życie!

Ale nie tylko lewica walczy ze słowem. Niedawno prawicowa partia Fidesz na Węgrzech wymyśliła i poparła nową ustawę o mediach. Tym razem demokracja polega na tym, że cenzura sięga nawet materiałów przygotowywanych do druku. Jak się komuś nie podoba, to nie ukażą się w ogóle. I już. I takie państwo ma współprzewodniczyć Unii razem z Polską od 1 lipca 2011 roku?

Jean Asselborn, minister spraw zagranicznych Luksemburga komentując węgierską ustawę powiedział, że „prawo to stanowi pogwałcenie ducha i litery traktatów Unii Europejskiej". A „Die Welt" tak ją opisało: „Wolność, którą wywalczyły Węgry przed dwiema dekadami dla siebie i innych teraz zanika". Przyjmując to nowe prawo Fidesz nadał bardzo szerokie uprawnienia Radzie Mediów w której ma większość. Rada może karać bardzo wysokimi karami (znów w walce ze słowem chodzi o pieniądze) telewizje i gazety za materiały, które „nie są politycznie zrównoważone" albo „naruszają ludzką godność". Można to odczytać tak, że politycy mają dość prasy, która chce ich podglądać, ba nawet zaglądać tu i tam, z alkową włącznie, bo oni się chcą prowadzić: politycznie i prywatnie tak jak chcą i wara od tego czwartej władzy. Lewica, czyli Węgierska Partia Socjalistyczna zaapelowała do Prezydenta Pala Schmidta, by odesłał ją do Trybunału Konstytucyjnego. Viktor Orban, szef Fideszu wystraszył się mocnej krytyki i ustami szefa klubu parlamentarnego stwierdza, iż „chce wypróbować" nowy model funkcjonowania mediów, ale się przy nim nie upiera. Dziennikarzy można pocieszyć, że każdy, kto dorwie się do władzy, czy z lewej, czy z prawej strony potraktuje ich tak samo. W końcu teraz panuje jedna zasada: czyje pieniądze, tego władza (cuius pecunia, eius imperium).

Andrzej Dramiński

Biografie Niemców z Prus Wschodnich

Bliscy i dalecy

Na rynek księgarski trafia kolejna książka Jana Chłosty przybliżająca nam, dzisiejszym mieszkańcom Warmii i Mazur, „tych, co przed nami". Było, minęło, po siedzibach większości, nawet najwybitniejszych, nie ma śladu. Po Królewcu, kolebce wszelkich talentów, z prastarym Uniwersytetem, nie pozostał kamień na kamieniu. Toteż uświadomienie sobie choćby części wielkiego człowieczego bogactwa, które odcisnęło wieczny ślad na tych ziemiach, jest naszą powinnością.

Jak pisze we wstępie Jan Chłosta, jego leksykon zawiera „biogramy 150 najbardziej reprezentatywnych ludzi różnych profesji i zainteresowań. Każdy z nich wyrastał ponad przeciętność." Pośród nich są osoby, z którymi – miałem taki przywilej – dane mi było się zetknąć. Czy to osobiście, czy studiując zagadkowe szczegóły działań, nieprzeciętnych dokonań, czy wydobywając niektóre osoby z kurzu niepamięci. To m.in. Marion von Doenhoff, August Feddersen, Johannes Gehrmann, Eugeniusz Buchholz, Emil Behring.

"Właśnie tam (w Królewcu – przyp.K.P.) ujawniło się znaczne zagęszczenie talentów – przypomina w wstępie Autor Leksykonu. – W większości młodzi ludzie po ukończeniu studiów na Albertynie przenosili się do zachodnich Niemiec, aby tam pogłębiać swoja wiedzę i zrealizować ważne życiowe plany. Potwierdzali tym opinię, że bez niemieckiego wschodu nie można sobie wyobrazić niemieckiej tożsamości."

Ale co ona ma z nami wspólnego? Nie sposób dziś zrozumieć sieci wytyczonych dróg, śladów siedlisk, krajobrazu, zachwytów prozatorskich, poetyckich, muzycznych, sympatii i antypatii do Polaków, bez drogowskazów, zawartych w „Biografiach Niemców z Prus Wschodnich" Jana Chłosty

Studio Poligrafii Komputerowej „SQL"s.c., Olsztyn 2010

Krzysztof Panasik

Kontynuujemy opowieść osnutą na dziejach tajemniczego czasopisma. Pionierskie spisanie zapomnianych dziejów kortowskiego pisma zostało ukończone. Reszta ewentualnych dociekań, to już domena historyków. Aleksandrowi Wołosowi gratulujemy wykonania rzetelnej roboty.

Aleksander Wołos

Jak zostałem redaktorem

czyli ciąg dalszy subiektywnej historii „Życia Kortowa"

Redakcja otrzymała własny lokal – malutki pokoik, który niegdyś może był przedpokojem, w bloku 26 (obecnie ul. Prawocheńskiego 17), zaopatrzony w telefon i starą maszynę do pisania. Lokal ten sąsiadował z mieszkaniem profesora Włodzimierza Szczekin-Krotowa. Niekiedy było słychać odgłosy sprzeczek profesora ze swoją żoną, toczone w języku rosyjskim. W redakcji bowiem, my studenccy redaktorzy, pełniliśmy późnopopołudniowe dyżury. Natomiast zebrania kolegium redakcyjnego odbywały się najczęściej w gabinecie Ludwika Pelczarskiego.

Rok 1955 był rokiem szczególnym również dlatego, że mijała piąta rocznica istnienia Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie oraz setna rocznica śmierci Adama Mickiewicza. Te tematy zatem znalazły swój wyraz w naszej gazecie. Ówczesny rektor WSR, profesor Alojzy Świątek , w artykule wstępnym pierwszego numeru, podsumował mijające pięciolecie uczelni. Tematyka mickiewiczowska znalazła się w opowiadaniu Alfreda Stefańskiego o młodości poety oraz w wierszu Mieczysława Jastruna. Dla mnie osobiście był to również rok ważny, wiosną bowiem otrzymałem pierwszą w moim życiu nagrodę, przyznaną przez tygodnik „Po prostu" za rysunek pt. „Uśmiech Giordana Bruna.

Wkrótce po utworzeniu „Życia Kortowa" powstał również „Dodatek Naukowy Życia Kortowa" (formatu A4), w którym były publikowane zarówno opracowania naukowe pracowników nauki, jak i prace magisterskie oraz referaty popularnonaukowe studentów starszych roczników – m.in. Zbigniewa Sadowskiego, który również wiele pisał do „Życia Kortowa". Komitet redakcyjny bowiem przyszłych „Zeszytów Naukowych WSR" był w tym czasie dopiero in statu nascendi.

Układ tematyczny i graficzny, wypróbowany w „Głosie Kortowa", został zachowany także na łamach pierwszych numerów „Życia Kortowa" – z rubryką sportową (Ryc.7) oraz kącikiem rozrywkowym, ze wspomnianym wyżej „Siewnikiem humoru i satyry" (Ryc.8). Kącik ten, w podwójnym numerze (3-4), wypełniał całą ostatnią kolumnę. Był bowiem ku temu istotny powód, gdyż organizacje firmujące nasze pismo nie wywiązywały się należycie ze swych obowiązków wydawniczych. Gazeta zalegała z płatnością wobec Zakładów Graficznych, zaś redakcji brakowało nawet materiałów piśmiennych. O tym traktował szkic satyryczny pt. „Dramat", w którym nad redakcyjnymi bolączkami obraduje kolegium redakcyjne (Ryc.9). Kłopoty finansowe były piętą achillesową gazety niemal przez cały okres jej istnienia. A muszę nadmienić, że wszyscy pracowaliśmy społecznie, czyli „bez wierszówki"!

Skład Kolegium Redakcyjnego podlegał ciągłym fluktuacjom. Do zespołu dołączył najpierw prof. dr Wacław Minakowski, obejmując funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Profesor Minakowski, jako wykładowca biochemii, był surowym ale sprawiedliwym egzaminatorem. Nawet bowiem student, opuszczający jego gabinet z dwóją w indeksie, wychodził z przekonaniem, że naprawdę nic nie umiał. Miał osobowość iście renesansową i był jednym z najlepszych przyjaciół młodzieży; ubogich studentów wspomagał czasem finansowo. Później, przez 20 lat, jako kierownik Katedry Biochemii, był moim szefem oraz promotorem i przyjacielem. Następnie w składzie Kolegium znalazły się następujące osoby: mgr Kazimierz Rouppert – asystent w Katedrze Łąkarstwa, inż. Władysław Król – asystent w Zakładzie Polityki Agrarnej, oraz mgr prawa Marian Błażejczyk, który jako major WP był zatrudniony w Studiu Wojskowym. Powiadano o nim w naszym środowisku, że podczas II Wojny Światowej walczył w oddziałach Józefa Broz-Tito. W rzeczywistości jednak, w składzie Polskiej Brygady serbskich Czetników, walczył zarówno przeciwko nazistom, jak i komunistycznej partyzantce Tito. Po wojnie pracował w Ostródzie jako robotnik. Tam też, w przededniu wyborów w 1947 roku, ostrzegł Ludwika Pelczarskiego o zaplanowanym pobiciu go przez bojówkę PPR-owską, aby nie mógł brać udziału w komisji wyborczej z ramienia PSL. Być może, że w ten sposób Błażejczyk uratował Ludwikowi Pelczarskiemu życie. Marian Błażejczyk doktoryzował się na Uniwersytecie Warszawskim i zrobił imponującą karierę naukową w dziedzinie prawa agrarnego i ekonomiki. Profesor Błażejczyk pracował przez wiele lat w Polskiej Akademii Nauk.

W „Życiu Kortowa", podobnie jak w jego prekursorze – „Głosie Kortowa", publikowane były sylwetki wyróżniających się postaci uczelnianego środowiska. Nie

ANEGDOTY

Znakomity przyrodnik Ernst Haeckel zwolennik darwinizmu pewnego razu tak wyraził się o swych przeciwnikach:

— Jest rzeczą zastanawiającą, że przeciwko teorii pochodzenia człowieka od małp najgorzej występują ci profesorowie, którzy jeżeli idzie o rozwój mózgu — najmniej się od nich różnią...

* * *

Pewien potentat finansowy napisał kiedyś list do Marka Twaina, nie otrzymał jednak od pisarza żadnej odpowiedzi.

Oburzony tak długim milczeniem bankier posłał wielkiemu humorystę papier oraz znaczek pocztowy jako przejrzystą aluzję.

Marek Twain odpowiedział wówczas na kartce pocztowej:

— Papier i znaczek otrzymałem. Proszę jeszcze o przysłanie koperty...

* * *

Mark Twain, będąc jeszcze początkującym dziennikarzem w San Francisco, szedł pewnego dnia przez miasto z pudełkiem cygar pod pachą. Na ulicy spotkał znajomą, która po przywitaniu zwróciła się do pisarza:

— Pan stanowczo za dużo pali. Zawsze spotykam pana na ulicy z pudełkiem cygar pod pachą...

— Ach nie — odparł pisarz, ja się tylko dziś znów przeprowadzam...

* * *

Znany ze swego ciętego dowcipu humorysta Saphir został raz zaproszony przez panią Lammel, damę ogromnie skąpą. Po obiedzie gospodyni pytała uprzejmie:

— Kiedy znowu zje pan u mnie obiad?

— Najlepiej byłoby zaraz — odpowiedział głodny humorysta.

(st.)

Ryc. 8. „Siewnik humoru i satyry"

Ryc. 9

Ilustracja do dramatu pt. „Dramat". Zebranie komitetu redakcyjnego w składzie (od lewej): prof. Dr Jan Lazar (red. naczelny), Aleksander Wołos (rysownik), mgr Ludwik Pelczarski (sekr. Redakcji), prof. Dr Wacław Minakowski (z-ca red. nacz.), Alfred Stefański (red. techniczny), mgr Zofia Nowicka (asystentka prof. Minakowskiego)

Ryc. 7. Winieta rubryki sportowej

zwykle interesującą osobowością był Walerian Ziarko (Ryc.10), który rozpoczął studia w 1953 roku mając 33 lata. Walerek był „chodzącą encyklopedią" (zwłaszcza w dziedzinie sztuki) i wspaniałym kolegą, o zadziwiająco młodzieńczej energii i ciekawości świata. Przez cały okres studiów był starostą mojego roku na Wydziale Zootechnicznym..

Ryc. 10

Walerian Ziarko (III.Rok Wydz. Zootechnicznego)

Były też postaci naszych wybitnych sportowców, jak Tadeusz Matyjek z Wydz. Rolniczego, czy Andrzej Jagodziński z Wydz. Rybackiego (Ryc.11), który jako średniodystansowiec znalazł się w kadrze narodowej.

Szereg postaci przedstawiliśmy w „ sondzie ulicznej" – jak to się dziś mówi , którą wymyślił Fredek Stefański, a przeprowadził Zbyszek Sadowski (Ryc.12). W tej sondzie pn. „Błyskawiczny Raid Życia" (Ryc.13), wśród rozmówców znalazł się m.in. Student z Korei Sin Gon-Sik (Ryc.14) oraz Irena Kropiwnicka, zwana Kropką (Ryc. 15). „Kropka" była nie tylko działaczką ZSP, ale uczestniczyła w pracach kortowskiego radiowęzła (szumnie zwanego studiem radiowym). Pomiędzy „Życiem Kortowa", a kortowską rozgłośnią, istniało swoiste sprzężenie zwrotne: radio propagowało gazetę, zaś gazeta – radio. Stefański bowiem, udzielając się wcześniej w pracy radiowęzła, przejął pałeczkę szefa po Stanisławie Długoszu, który kończył już studia (Ryc.16). Na tych dwóch frontach działało jeszcze kilka osób, jak Antoni Rekowski, Jadwiga Mazewska, Teresa Wilińska i Zbigniew Sadowski. Antek Rekowski po pierwszym roku zrezygnował ze studiów i wstąpił do Oficerskiej Szkoły MO w Szczytnie, skąd podsyłał czas jakiś swoje artykuły do „Życia Kortowa". Zbyszek Sadowski (Ryc.17), choć formalnie nie był członkiem, to aktywnie uczestniczył w pracach studenckiej części zespołu redakcyjnego gazety.

Ryc. 11

Andrzej Jagodziński (III.Rok Wydz. Rybackego)

Ryc. 12

Zbyszek Sadowski przeprowadza wywiad

Ryc. 14

Sin Gon-Sik (III.Rok Wydz. Zootechnicznego)

Ryc. 13

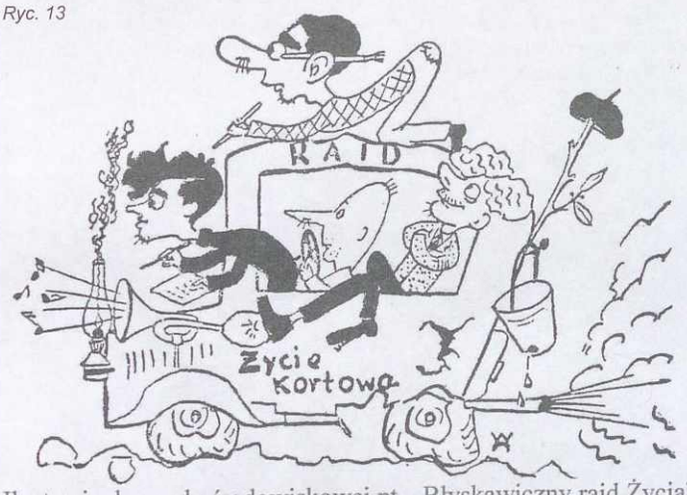

Ilustracja do sondy środowiskowej pt. „Błyskawiczny raid Życia"

Ryc. 15

Irena Kropiwnicka („Kropka")

Pomimo niemożności płacenia wierszówki, redakcji udało się pozyskać do współpracy (głównie dzięki staraniom Stefańskiego oraz Pelczarskiego) kilku regionalnych pisarzy: Michała Lengowskiego, Alojzego Śliwę i Teofila Ruczyńskiego, którzy są obecnie patronami olsztyńskich ulic. Ruczyński publikował ponadto w „Życiu Kortowa" artykuły o obyczajach mazurskich. Liczne wiersze zamieszczała w naszym miesięczniku Również Józefa Kołłątaj zaś Witold Piechocki prozę (m.in. Opowiadanie „Gorzki chleb", nagrodzone na konkursie ZLP). Także Tadeusz Oracki – historyk, publicysta i krytyk literacki (obecnie profesor) pisał rocznicowe artykuły o Mickiewiczu i Mrongowiuszu oraz artykuł „Stefan Żeromski na Warmii i Mazurach". Zamieszczaliśmy ponadto eseje filmoznawcze publicysty, niedawno powołanego do życia miesięcznika „Mazury i Warmia", Bohdana Michalskiego. Michalski, prawnik z wykształcenia, został później profesorem prawa prasowego na Uniwersytecie Warszawskim. Natomiast kortowska uczelnia, ze względu na swoją specyfikę, nie obfitowała w talenty literackie. Było jednak kilkoro studentów parających się poezją. Jedną z osób piszących wiersze był w owym czasie student I-Roku Wydz. Zootechnicznego Jerzy Jasiński. Ponieważ był on rozmiłowany w przyrodzie ojczystej i znawcą ptactwa wszelakiego, więc pisał wiersze głównie o tej tematyce. Niestety, Jurek nie wytrzymał „ciśnienia" przedmiotów ścisłych.

Przed początkiem roku akademickiego 1955/56 Fredek Stefański, dzięki swej zapobiegliwości, zdołał wyjednać u kierownictwa domów studenckich pokoik w DS 4. Pomieszczenie to w przyszłości miało być podręczną studencką kuchenką; ze ścian wystawały bowiem kurki gazowe (jeszcze bez gazu), a zamiast podłogi była lastrykowa posadzka.

Ryc. 16

Alfred Stefański i Teresa Wilińska w studiu kortowskiego radiowęzła

Praca redaktora technicznego i rysownika miały szczególny charakter, gdyż wymagały miejsca i spokoju, których brak było w „normalnych", 6-osobowych pokojach z piętrowymi łóżkami. Natomiast lokal redakcyjny nie spełniał naszych oczekiwań, ponieważ pracy redakcyjnej poświęcaliśmy się po zajęciach, a więc najczęściej w godzinach nocnych. Zamieszkaliśmy w tym pomieszczeniu – o numerze 115 – Stefański i ja, przygarniając Jula Grodzińskiego, który nie zaliczywszy pierwszego roku, był już skreślony z listy studentów (Ryc.18). Julo pomieszkiwał z nami kilka miesięcy, pisząc jeszcze trochę do „Życia Kortowa", choć współpracował już od pewnego czasu z „Życiem Olsztyńskim" oraz z nowo powstałym miesięcznikiem „Mazury i Warmia" (późniejszy dwutygodnik „Warmia i Mazury"). Grodziński był następnie publicystą, założonego w 1957 roku, ogólnopolskiego tygodnika „Panorama Północy". Napisał też kilka książek.

c.d.n.

Ryc. 17

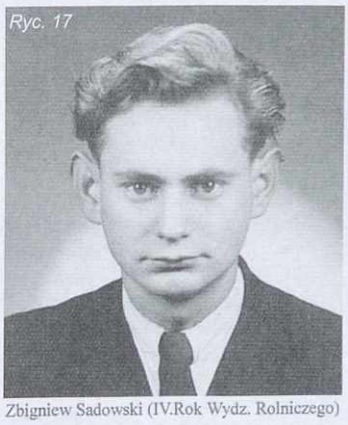

Zbigniew Sadowski (IV.Rok Wydz. Rolniczego)

Alfred Stefański (z prawej) i Aleksander Wołos podczas makietowania gazety

Naszym okiem

Ludzie tego chcą?

Co się stało z polskim dziennikarstwem? Widać w telewizji, widać na łamach.

Tak się składa, że w moim środowisku – dziennikarzy i redaktorów dojrzałych – słyszę wiele utyskiwań na różne produkty medio– i prasopodobne. Rozumiem najzupełniej i podzielam wstręt. Ale też „chwytam" kontrargument mojej przyjaciółki, że nie ma co psioczyć – „zrób to sama, pokaż, że może istnieć pismo z treścią lepszą niż te g...a i żeby jeszcze się sprzedawało, a może nawet przynosiło zysk"...

– Natomiast – mówi Hanka, ta przyjaciółka – reszta argumentacji Twoich koleżanek czy kolegów jest efektem zmielonej na proszek i wyplutej przez rynek tzw. inteligenckości. Albo raczej tego, co Hanka nazywa polską/inteligencką wersją przystosowania się do tzw. rynku. Bo inteligenci, dziwna sprawa, przeważnie zawsze dostosowywali się do aktualnej sytuacji, władzy itp. w najbardziej paskudny, pokrętny sposób, przy użyciu najobrzydliwszej argumentacji racjonalizującej brak kręgosłupa.

Nie pamiętam, by zespół jakiejś zamienianej w g...o gazety solidarnie stawił opór wobec zamiarów wydawcy/właściciela, albo, żeby walczył o zachowanie choćby dodatku tygodniowego, który by trzymał jakiś poziom, był kontrofertą wobec codziennego chłamu – tłumaczyła mi Hanka.

Jej zdaniem, w przypadku polskich, pardon, inteligentów najczęściej sprawdza się znakomicie metoda divide et impera. W oka mgnieniu dany zespół rozpada się na tych, którzy gładko wpisują się w oczekiwania właściciela (zysk, nakład, oglądalność) i tych, którzy margają po kątach. Ci pierwsi awansują, kupują domy i samochody, ci drudzy najczęściej tracą robotę, albo spadają na margines gazety. Ale jedno Hanka obserwowała od stanu wojennego – „łatwość kur...enia się właśnie tego, inteligenckiego środowiska. I jego niesolidarność i nie trzymanie standardów uczciwości".

Racja. Sama wielekroć słyszałam argument, że przecież mogę dostosować się do „systemu", robić to, czego ode mnie żądają, a w zamian zyskuję pieniądze, które dają „wolność po godzinach", kiedy mogę spełniać swe marzenia, robić, co mi się podoba. Czyli tak – w godzinach pracy kur..my się za pieniądze, po godzinach trzymamy wysoko sztandar naszych aspiracji.

W Polsce praktycznie nie występuje już dziennikarstwo poza „centralą" (niektórzy dziennikarze TV i kilka tytułów ogólnopolskich). W tzw. terenie występują wyłącznie zapełniacze szpalt. Proszę zauważyć, że gdy stanie się coś gdzieś w głębi kraju – deleguje się tam „naszych ludzi z centrali", bo przecież „terenowy" personel mediów lokalnych to głupki. No i frajerzy, którzy się nie załapali na sukces finansowy, sławę itp.

Niedawno odbyłam nader pouczającą rozmowę z moim wieloletnim przyjacielem, sporo ode mnie starszym i wiekiem i stażem żurnalistą, który z niegdysiejszego ciętego pióra komentatora-analityka społecznego i politycznego, zmienił się w „układacza" agencyjnych gotowców w gazecie podobnej do „Olsztyńskiej". Zmienił się, bo inaczej wyleciałby z roboty i nie miałby za co żyć, a do emerytury ma 1,5 roku. Onże powiedział mi ważką, choć oczywistą jak konstrukcja cepa rzecz: „Dzisiaj na tzw. rynku mediów papierowych (a tym bardziej elektronicznych) nie chodzi o to, żeby ludzie czytali! Oni mają gazetę kupić!".

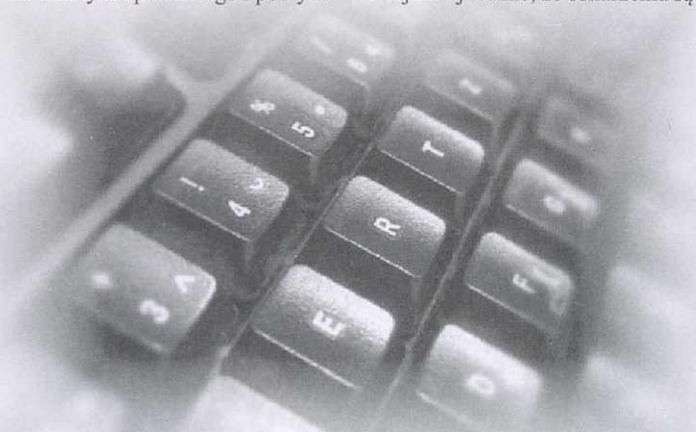

Głównym zasię argumentem przemawiającym za powodzeniem takich potęg medialnych, jak „Bild Zeitung" (i jego mutacja „Fakt" itd.) czy innych kolorówek jest właśnie to cudowne samospełniające się proroctwo, że „ludzie właśnie tego chcom!". Że „dajemy odbiorcom to, czego oczekują", że różne tam inteligenckie gęganie w pismach opinii się nie sprzeda. Myślenie (a osobliwie – samodzielne) jest, proszę państwa, niepokupne!... O czym przekonała się i przekonuje na co dzień całkiem spora grupa ludzi.

To dlatego właśnie, w większości redakcji, kierownictwo używa argumentu, że „skoro to się sprzedaje" widać tego właśnie „ludzie chcom i trza im to dać".

Jest i drugi wątek – dyktat reklamodawców. Sama tego doświadczyłam, kiedy pismu poświęconemu medycynie zaproponowałam cykl kawałków (z twardymi dowodami, a jakże!) o absolutnie bezprawnym dyktacie koncernów farmaceutycznych wobec Polski i mechanizmach korumpowania administracji państwa, lekarzy, aptek itp. I usłyszałam, co następuje: Po pierwsze: redakcja nie upadła na głowę, żeby drukować oskarżenia przeciw tym firmom, które dają papu, czyli dają reklamy, dzięki którym gazeta utrzymuje się na rynku. I najmniej ważne, że oskarżenia są prawdziwe, bo zgodnie z polskim prawem karalnym oszczerstwem jest publikowanie faktów „mogących naruszyć dobre imię" osoby lub firmy nawet, jeśli są prawdziwe i potwierdzone dowodami. Albowiem według polskiego prawa nazwanie publicznie złodzieja złodziejem „może go poniżyć w oczach opinii publicznej", a za to dostaje się trzy lata bez zawiasów i grzywnę (art. 212 kk).

Czyli tak: nie dość, że patroni reklamowi (owe firmy farmaceutyczne) wycofają reklamy w gazecie, która im szyje buty, to jeszcze wykończą gazetę, wraz z całym personelem, w procesie o naruszenie dobrego imienia, który wygrają w cuglach. Wniosek – o treści w mediach, czyli o istnieniu tychże, decydują nie redaktorzy lecz reklamodawcy!

Bo nie ma już czytającej publiki, jest target! Target ma kupić produkt, od targetu nie oczekuje się, że będzie myślał. Kropka. A jeśli publika myśli, że myśli i chce czegoś innego – należy jej to wybić z głowy, albo (znacznie skuteczniejsze) zmarginalizować i lekceważyć. Sama zdechnie i przestanie zawracać głowę.

Po drugie: expressis verbis wypowiedziano tę świętą prawdę mediów tak oto: masz pisać to, co ludzie chcą przeczytać, a nie to, co ty chcesz im powiedzieć! Jeśli między jednym a drugim oczekiwaniem istnieje rozziew – tym gorzej dla dziennikarza. Tak ? propos – przypomniała mi się dewiza BBC (u nas nieaktualna): że oni uprawiają dziennikarstwo, a nie sutenerstwo. I że dostarczają ludziom to, co ludzie powinni wiedzieć, a nie to, co ludzie chcą przeczytać, zobaczyć lub usłyszeć…

A wracając do sprawy – to dlatego w mediach całego świata bez cienia wahania publikowano zdjęcia z kaźni Saddama, bo „target to lubi, target tego chce!" a jeśli ktoś gdzieś się zawahał – stracił na nakładzie, oglądalności, słowem – NIE PRZYNIÓSŁ ZYSKU! Bo media to biznes, a biznes ma przynosić zysk. A zysk daje target, który kupi najgłupszy szmelc. Ale żeby kupił – target musi być formowany, urabiany na jednolitą, globalną maź, która nie myśli, tylko kupuje! Tak więc – sorry Winnetou! Biznes, to biznes.

Dlatego coraz więcej dziennikarzy wykazuje wszystkie objawy zlasowanego targetu, kiedy lękają się podpaść naczelnemu, burmistrzowi czy prezydentowi w razie nieprzychylnej publikacji i nawet w gronie członków SDP nie czują potrzeby uczciwej wymiany opinii. Bo to może zaszkodzić ich posadom, pieniądzom itp. Ten typ myślenia oparty jest właśnie na strachu przed „wyautowaniem" (czyli wypadnięciem na aut), co tak wyraźnie zawiera się w szyderczo (i przecież prawdziwie) przywoływanym stwierdzeniu: „pokaż, jaki jesteś twórczy, załóż gazetę opinii, która się utrzyma na rynku".

Krótko mówiąc – jeśli wylecisz z tego układu – nie istniejesz, a jak nie istniejesz, to co z tego, że moralnie, intelektualnie masz rację. Kogo obchodzi racja wyautowanych?! To jest taka właśnie samospełniająca się wróżba. Ci zlasowani dziennikarze z góry uznali, że target, reklama i dyktatura właścicieli mediów wyznaczają pole manewru. I albo się dostosujesz, albo wypadasz. Wiem, co mówię – sama to przeżywam. Ale pisanie Ad Maiorem Dei Gloriam z ważnych powodów społecznych, ale z niezapłaconym czynszem, brakiem środków do życia – wypaliło mnie, wyzuło z sił i wiary w sens. Przykład najświeższy – za 9-stronicowy raport o polityce mieszkaniowej miasta stołecznego Warszawy (pierwszy taki zbiorczy materiał po 20 latach kapitalizmu) otrzymałam honorarium 250 złotych polskich netto.

Jolanta Wrońska

Autorka jest warszawską dziennikarką i redaktorką

Pomimo młodego wieku, ma za sobą bogaty staż dziennikarski. Na początku drogi była szkolna gazetka, teraz jest redaktorem naczelnym „Kuriera Morąskiego 24" i członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Oprócz tego zajmuje się poezją. Wydał trzy tomiki, a nawet płytę ze swoimi wierszami. Pogodny, uśmiechnięty, towarzyski, a jednocześnie bystry obserwator tego wszystkiego, co go otacza. Konsekwentny i uparty w działaniu. Zapewne dlatego odniósł sukces. Wydawca miesięcznika powierzył mu prowadzenie niezależnej lokalnej gazety.

Twarze olsztyńskich mediów

Daniel Woronko

– czuję się potrzebny jako dziennikarz

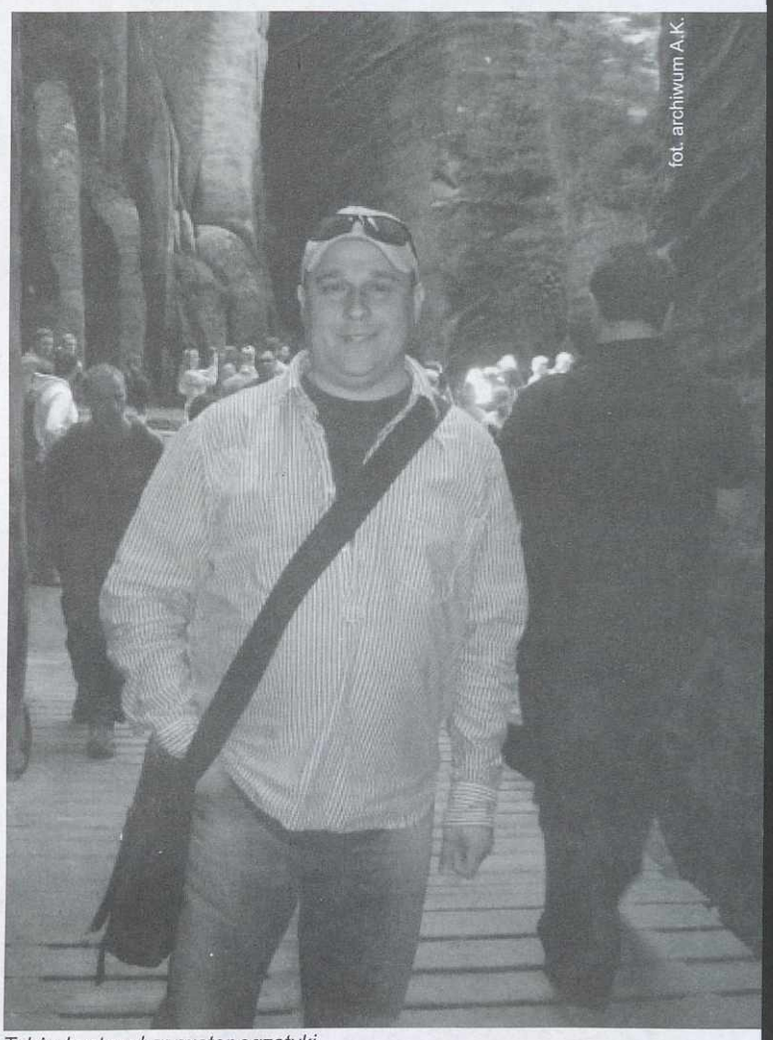

fot. archiwum A.K.

Także bystry obserwator egzotyki

Jakie były Twoje pierwsze kroki dziennikarskiej profesji?

Zaczynałem w szkole średniej w Olecku od redagowania w szkolnej gazecie. Niedługo potem redaktor naczelny lokalnego tygodnika „Lega-rytmy" zaprosił mnie do współpracy. Później był „Tygodnik Olecki", tygodnik „Nasze Krajobrazy", „Krajobrazy", przez krótki czas „Gazeta Wyborcza", wcześniej Radio Olsztyn. Radio Mazury, Telewizja Morąg, a od grudnia 2010 „Kurier Morąski 24" (niezależny miesięcznik, którego jestem redaktorem naczelnym).

Sporo tego, a od jakiego czasu zajmujesz się dziennikarstwem zawodowo?

Od prawie dwudziestu lat. Jeszcze w Olecku (teraz mieszkam w Morągu) uczęszczałem na warsztaty dziennikarskie. Miło to wspominam. Między innymi trudnej sztuki pisania felietonów uczył mnie Michał Ogórek, a rozmów na radiowej antenie – Tadeusz Sznuk. Nie ukończyłem co prawda studiów dziennikarskich, ale dziennikarstwo dla mnie to nie tylko zawód, ale przede wszystkim pasja.

Jakie formy dziennikarskiego warsztatu są ci najbliższe, w jakich czujesz się najlepiej?

Chyba w reportażu. Chętnie słucham ludzi, poruszają mnie ich problemy. Zdarza się i bardzo nie mnie to cieszy, że jeszcze przed publikacją, wiele tych spraw udaje się załatwić pozytywnie.

Pracowałeś i pracujesz głównie w mediach regionalnych. Jaka jest ich rola w codziennym życiu mieszkańców i czytelników?

W czasie kontaktów z ludźmi, nie tylko tych dziennikarskich, wyczuwa się, że najbardziej interesuje ich to, co się dzieje na lokalnym podwórku. Dlatego chętnie sięgają po lokalną gazetę. Zwłaszcza, jeżeli jest ona bezpłatna. Nie wszystkich stać na codzienny kontakt z prasą i nie każdy może sobie pozwolić na zakup gazety. Czasami taki miejscowy periodyk jest jedynym źródłem informacji, dlatego chętnie jest czytany.

Co Ci daje praca dziennikarza oprócz możliwości wykonywania zawodu?

Przede wszystkim satysfakcję, że czuję się potrzebny, że mogę komuś pomóc. Przy okazji mam kontakt z różnymi ludźmi i przez to nabieram też doświadczenia w wielu dziedzinach, w których nie jestem fachowcem.

Czy lokalne władze zauważają miejscową prasę, czy jest ona dla nich opiniotwórcza, czy liczą się ze zdaniem dziennikarzy?

Oczywiście, jeżeli pisze się o władzy pozytywnie, to ta sympatia jest większa. Jeżeli coś się władzy wytknie, skrytykuje, wtedy ta współpraca jest bardzo trudna. Zdarza się, że przedstawiciele lokalnych władz sami dzwonią z informacjami co się udało zrobić, a czego nie.

Masz może na swoim koncie jakiś spektakularny sukces jako dziennikarz?

W ostatnim okresie zwracamy szczególną uwagę w Morągu na sprawy służby zdrowia. Potrzebne są trzy poradnie specjalistyczne: diabetologiczna, alergologiczna i ginekologiczna, nie działające do tej pory z różnych przyczyn. Wierzymy, że w końcu uda się to załatwić.

Kiedyś, pracując jeszcze w Olecku, dotarłem do jednej z restauracji, gdzie zatruło się kilkoro dzieci. Poprzez publikacje tego materiału udało się uniknąć zbiorowego zatrucia kilkudziesięciu osób.

Czy dziennikarstwo jest Twoim jedynym zawodem, jeżeli tak, to czy na szczeblu regionalnym, można się z tego utrzymać, bo wszyscy tylko narzekają?

Z tym to różnie bywa. Ja dodatkowo zajmuję się jeszcze ogłoszeniami i reklamą. Staram się w ten sposób zdobywać pieniądze, aby gazeta funkcjonowała i samemu z tego żyć. Jakoś się udaje. Mam jeszcze trzech współpracowników. Chcę tu o jednej ważnej rzeczy powiedzieć. Zanim ukazał się pierwszy numer „Kuriera Morąskiego 24", ludzie nie znali charakteru naszej gazety. Nie widzieli dla kogo ona będzie przeznaczona, czy dla ogółu mieszkańców, czy jakiejś określonej grupy społecznej. Pomimo tego ponad połowę pierwszego numeru zapełniła reklama. Bardzo się z tego cieszę, że reklamodawcy mi zaufali i przez to, że zamówili te reklamy, ukazał się pierwszy numer i mam nadzieję powstaną następne.

Są też takie chwile, kiedy odkładasz pióro i magnetofon, co wtedy najbardziej lubisz robić?

Chyba nie będą oryginalny. Spędzam czas ze swoją rodziną, z żoną i synem. Bawimy się, chodzimy na spacery, zimą jeździmy na sankach. Ale gdzieś w duchu, w podświadomości, kiedy np. zawyje jakaś syrena alarmowa, czy zadzwoni telefon, budzi się dziennikarska natura. Wtedy słyszę z boku głos żony – pamiętaj, że to jest czas dla nas.

Andrzej Zb. Brzozowski

Z piórem w walizce

Andrzej Badurek

Pływanie z delfinami

Kolejny dzień pobytu na wyspie upłynął nam na odkrywaniu najbliższej okolicy, dla nas egzotycznej i tajemniczej, leżeniu plackiem na plaży oraz myszkowaniu po sklepach. Trzeci przyniósł jeszcze więcej atrakcji i wrażeń. Zaraz po śniadaniu pojechaliśmy do portu, gdzie wsiedliśmy na pokład statku bardzo podobnego do znanych z przystani w Mikołajkach. Może nieco większy, lecz nie za wiele. Po kilkunastu minutach statek odbił od nabrzeża i ku zdumieniu wszystkich począł wykonywać dziwne, nieskoordynowane ruchy. Poruszał się to w przód, to w tył, krążąc po basenie portowym. Co u licha z tym krążeniem – pomyślałem, przedwczoraj samolot kręcił kółka, a teraz ta łódka? Ciekawość nie pozwoliła mi usiedzieć w miejscu lecz zagnała na dziób statku, gdzie przy linach kotwicznych uwijali się ludzie. Ponad ich głowami i głowami gapiów, przewieszony przez barierkę, darł się wniebogłosy wymachując rękoma siwy jegomość w marynarskiej bluzie. Pewnie kapitan. Z tego co zdołałem zobaczyć i usłyszeć wynikało, że zamieszanie spowodowała kotwica albo raczej coś co trzymało ją na dnie basenu nie pozwalając w żaden sposób oderwać jej od dna. Dopiero interwencja płetwonurka spowodowała, że co prawda z opóźnieniem, lecz wypłynęliśmy w morze.

Po wypłynięciu z portu statek obrał kurs na północ, płynąc w niewielkiej odległości od brzegów wyspy. Z pokładu ukazał się nam rozległy widok na port i otaczające go miasto. Wkrótce widok się zmienił. Port i miasto zginęły za jednym z wielu na Zakinthos półwyspów, pomiędzy którymi kryją się ciche, błękitne zatoczki. Po około godzinnym pływaniu statek zawinął do jednej z nich i rzucił kotwicę. Niemalże natychmiast znaleźli się amatorzy kąpieli. Jedni schodzili do wody po zamocowanych na rufie statku drabinkach, inni wybierali prostszą, aczkolwiek bardziej ryzykowną drogę skacząc z pokładu.

Wkrótce pożegnaliśmy słoneczną zatoczkę. Jednocześnie powoli lecz nieuchronnie opuszczaliśmy wschodnią stronę wyspy, zbliżając się do jej strony północnej. Wiatr stawał się coraz dokuczliwszy. Stopniowo zmieniał się krajobraz. Zieleń drzew cytrusowych i gajów oliwnych ustępowała miejsca szarości i bieli skał.

Motorówka z grupką pozdrawiających nas pasażerów

fot. autor

W pewnym momencie zza skał wypadła motorówka wioząca grupkę pozdrawiających nas pasażerów. Po chwili przepadła, w którymś ze skalnych tuneli. Wiatr wiał coraz mocniej. Fale piętrzyły się coraz wyższe.

Już tylko cypel, do którego niebezpiecznie zbliżał się statek, oddzielał nas od zachodniej części wyspy Zakinthos. Przede mną rozpostarł się groźny, niesamowity widok. Spienione bałwany waliły o skały i rozbijały się o nie. Statek już nie kiwał się lecz podskakiwał niczym piłka na falach. Czyżbyśmy opływali Horn? – przeszło mi przez myśl. Wiatr omal nie zerwał z głowy mojej nowej czapki. Zbiegłem na dolny pokład. W momencie, gdy statek robił zwrot, z głośników pokładowych dobiegł nas głos pilotki przebijający się przez huk fal. Oznajmiała, że z powodu złych warunków atmosferycznych panujących na morzu po zachodniej stronie wyspy, kapitan statku zadecydował zawrócić do portu.

Decyzja kapitana, jakkolwiek słuszna, pozbawiała nas przyjemności opłynięcia wyspy dookoła i obejrzenia jej z morza w całej okazałości. Płynęliśmy całą naprzód uciekając pośpiesznie z niebezpiecznej, wietrznej strefy. Stopniowo wiatr łagodniał, kołysało coraz mniej, morze stawało się na powrót spokojne. Wyszedłem na górny pokład i oparłszy się o reling spoglądałem na pozostawiony za rufą ślad. Wtedy ujrzałem delfiny. Płynęły po prawej stronie statku tuż pod powierzchnią wody. Widziałem ich sylwetki. Smukłe i długie mknęły pod wodą niczym torpedy. Co jakiś czas, wyginając się w łuk, wyskakiwały ponad wodę.